

DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

NA MOTYWACH SCENARIUSZA
NAJLEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ
OSTATNICH LAT - SERIALU

THE KILLING



PONIEDZIAŁEK_
3 LISTOPADA_

– Na tyłach – powiedział gliniarz. – Jakiś bezdomny ją znalazł.

Siódma trzydzieści rano. Jeszcze ciemno, deszcz lał pionowymi, lodowatymi strugami. Podkomisarz Sarah Lund stała pod ścianą brudnego ceglanego budynku nieopodal nabrzeża, patrząc, jak mundurowi rozpinają taśmę policyjną.

Ostatnie miejsce zbrodni, jakie oglądała w Kopenhadze. To musiało być morderstwo. A ofiarą musiała być kobieta.

– Budynek jest pusty. Sprawdzamy ten naprzeciwno.

– Ile ona ma lat? – spytała Lund.

Gliniarz, chyba jej nieznany, wzruszył ramionami, po czym starł ręką deszcz z twarzy.

– Czemu pytasz?

Przez ten koszmar – chciałyby powiedzieć. Koszmar, który sprawił, że o szóstej rano z krzykiem siadła wyprostowana jak struna w pustym łóżku. Gdy wstała, Bengt, miły, troskliwy, spokojny Bengt, krzątał się po mieszkaniu, kończąc pakowanie. Mark, jej syn, spał przed telewizorem w swoim pokoju i nawet nie drgnął, gdy zajrzała tam po cichutku. Dzisiaj wieczorem całą trójką mieli wsiąść do samolotu lecącego do Sztokholmu. Nowe życie w innym kraju. Zakręt wzięty. Mosty spalone.

Sarah Lund miała trzydzieści osiem lat, była poważną kobietą, przypatrującą się badawczo światu, nigdy sobie. Zaczynał się jej ostatni dzień w kopenhaskiej policji. Takie kobiety jak ona nie miały koszmarów, nie budziły się w ciemnościach przerażone majakami wykrzywionej w panice młodej twarzy, tak podobnej do niej samej przed laty.

To przydarzało się innym.

– Jasne, po co odpowiadać. – Gliniarz skrzywił się na jej milczenie, podniósł taśmę i poprowadził ją do rozsuwanych metalowych drzwi. – Powiem ci, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Podał jej niebieskie rękawiczki, patrzył, jak je zakłada, potem oparł się ramieniem o rdzewiejący metal. Drzwi odsunęły się, piszcząc jak torturowany kot.

– Dołączę do ciebie za chwilę – rzucił.

Poszła przed siebie, jak zawsze sama, patrząc uważnie jasnymi, szeroko otwartymi oczami, niezmiennie czujna.

Nie wiedzieć czemu gliniarz zasunął drzwi w chwili, gdy ona znalazła się w środku, tak szybko, że tym razem rozległ się koci pisk o ton wyższy. Potem zapadła cisza, zakłócona tylko metalicznym dygotem ciężkiej stali oddzielającej ją od szarego dnia.

Środkiem pomieszczenia biegł korytarz. Wyglądało to na magazyn mięsa. Na belce w równych odstępach wisały haki. Na sufitach świecił jeden rząd żarówek. Betonowa posadzka była wilgotna i lśniąca.

Na końcu korytarza coś się poruszyło, zakołysało jak ogromne wahadło.

Trzask niewidocznego przełącznika i nagle zapadła ciemność. Jak w sypialni dzisiaj rano, gdy wybudziła się ze strasznego snu.

– Światło! – zawołała.

Jej głos odbił się echem po czarnym i pustym wnętrzu budynku.

– Proszę włączyć światło!

Cisza. Żadnego dźwięku. Była doświadczoną policjantką, zabrała ze sobą wszystko, co powinna, oprócz broni, o której zawsze zapomniała.

Ale w prawej kieszeni miała latarkę. Wyjęła ją teraz i trzymała tak, jak to robią wszyscy gliniarze: prawa ręka w górę, nadgarstek odchylony. Poświeciła przed siebie, zajrzała w zakamarki po bokach.

Ruszyła na łowy. Koce, rozrzucone ubrania, dwie zgniecione puszki po coli, opakowanie po prezerwatywach.

Trzy kroki i nagle stop. Pod prawą ścianą, przy samej podłodze zobaczyła kałużę, szkarłatną i lepłą. Od niej ciągnęły się dwie równoległe linie – krew rozsmarowana tak, jakby po podłodze ciągnięto ciało.

Lund sięgnęła do kieszeni, wyjęła paczkę gum nikotynowych, wrzuciła jedną do ust.

Rzucała nie tylko Kopenhagę. Papierosy też trały na czarną listę.

Pochyliła się i wsadziła do lepkiej kałuży palec w niebieskiej rękawiczce. Podniosła go do nosa i powąchała.

Jeszcze trzy kroki i natknęła się na siekierę o stylisku czystym i lśniącym, jakby wczoraj przyniesiono ją ze sklepu. Dwoma palcami dotknęła czerwonej cieczy, która opływała ostrze. Posmakowała, powąchała i zastanowiła się chwilę.

Nigdy nie polubi smaku nicotinel. Poszła dalej.

To coś przed sobą widziała coraz wyraźniej. Kołysało się z boku na bok. Gruba folia umazana na czerwono tak mocno, jakby w środku znajdowało się zaszlachtowane zwierzę.

Zawartość folii miała znajomy, ludzki kształt.

Lund zmieniła pozycję latarki, trzymała ją teraz blisko talii. Kierując promień do góry, badała folię, szukała miejsca, za które mogłaby chwycić.

Szarpnęła, folia opadła, a jej zawartość zakołysała się powoli. Światło latarki pochwyciło znieruchomiłą twarz, męską, usta otwarte w wiekuistym O. Czarne włosy, różowa skóra, monstrialny sztuczny penis we wzwodzie. A na głowie jaskrawoniebieski hełm wikinga ze srebrnymi rogami i złotymi warkoczami.

Lund przechyliła głowę i uśmiechnęła się. Na ich użytek.

Na klatce piersiowej gumowa lala miała kartkę: „Dzięki, szefowo, za siedem cudownych lat. Chłopaki”.

Z ciemności dobiegł śmiech.

Chłopaki.

Nieży kawał. Chociaż mogli się postarać o prawdziwą krew.

Siedziba Politigarden mieściła się w szarym labiryncie na osuszonym terenie nieopodal nabrzeża. Budynek Komendy Głównej, posępny i kanciasty na zewnątrz, w środku otwierał się na owalny dziedziniec otoczony klasyczną kolumnadą, za którą biegła ocieniona arkada. Spiralne klatki schodowe wewnątrz budynku prowadziły do długich korytarzy wyłożonych żyłkowanym czarnym marmurem. Trzy miesiące minęły, zanim nauczyła się poruszać po tym ciemnym labiryncie. Jeszcze teraz czasami musiała się mocno zastanawiać, gdzie się znajduje.

Wydział Zabójstw mieścił się na pierwszym piętrze, od północnego wschodu. Lund siedziała w pokoju Bucharda, słuchając ich żartów, otwierając prezenty, uśmiechnięta, milcząca, w hełmie z kartonowymi rogami i złotymi warkoczami.

Wreszcie podziękowała im i poszła do siebie, by pozbierać swoje rzeczy. Nie miała czasu na certolenie. Uśmiechnęła się do zdjęcia Marka, które trzymała na biurku. Sprzed trzech lat, gdy on miał lat dziewięć, na długo przed tym, jak przyszedł do domu z tym śmiesznym kolczykiem w uchu. Przed – tuż przed – rozwodem. Potem pojawił się Bengt i zaczął ją kusić wyjazdem do Szwecji i życiem po drugiej stronie smętnych, zimnych wód Sundu.

Mały Mark, nieuśmiechnięty i wtedy, i teraz. To się zmieni w Szwecji. Wszystko się zmieni.

Zgarnęła do lichego kartonu resztę rzeczy z biurka: trzymiesięczny zapas nicotinell, długopisy, temperówkę w kształcie londyńskiego autobusu; na wierzchu położyła zdjęcie Marka.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna.

Spojrzała, osądziła, jak zawsze. Papieros zwisający z kącika ust. Włosy krótkie, twarz poważna. Wielkie oczy, wielkie uszy. Ubranie tanie i trochę zbyt młodzieżowe jak na faceta prawie w jej wieku. Niósł karton bardzo podobny do jej własnego. Dostrzegła plan Kopenhagi, tablicę do minikozzykówki, samochodzik policyjny i słuchawki.

– Szukam gabinetu Lund – powiedział, wpatrując się w hełm wikinga zawieszony na nowych nartach, które podarowano jej przy śniadaniu.

– To tu.

– Jan Meyer. Tu się nosi takie mundury?

– Wyjeżdżam do Szwecji.

Podniosła swoje rzeczy i ruszyła do drzwi. Niezgrabnie próbowali się wyminąć.

– Na miłość Boską... dlaczego? – spytał.

Odstawiła karton, zgarnęła do tyłu długie, brązowe, niesforne włosy, rozejrzała się. Chyba nic nie zostało.

Meyer wyjął tablicę do minikoszykówki, spojrzął na ścianę.

– Moja siostra zrobiła coś takiego – powiedział.

– Co mianowicie?

– Tu jakoś nie mogła się zebrać do kupy, więc przeniosła się z facetem na Bornholm. – Umocował tablicę między szafkami na akta. – Fajny gość. Nie udało się.

Lund wyjęła z kieszeni gumkę i z niecierpliwością związała włosy w koński ogon.

– Za daleko od cywilizacji. Dostawali kręćka od słuchania całymi dniami krowich pierdów. – Wyjął cynowy kufel do piwa z przykrywką i obracał go w dłoniach. – Ty dokąd jedziesz?

– Do Sigtuny.

Meyer znieruchomiał i wpatrywał się w nią w milczeniu.

– To też bardzo daleko od cywilizacji – dodała.

Zaciągnął się głęboko i wyjął z pudła małą, dziecięcą futbołkę. Postawił na biurku radiowozik i zaczął nim jeździć w tę i z powrotem. Kiedy kółka się poruszały, włączało się niebieskie światło i wyła syrena.

Ciągle się nim bawił, gdy wszedł Buchard z kartką w rękę.

– Poznaliście się – powiedział. To nie było pytanie.

Miły wujaszek w okularach, obok którego siedziała przy śniadaniu, zniknął.

– Mieliśmy przyjemność... – zaczęła.

– Właśnie to przysłano. – Buchard podał jej raport. – Jeśli jesteś za bardzo zajęta pakowaniem...

– Mam dużo czasu – zapewniła. – Cały dzień...

– Świetnie. Może weźmiesz ze sobą Meyera?

Mężczyzna z kartonem zgasił papierosa i wzruszył ramionami.

– On się rozpakowuje – zauważyła.

Meyer zostawił samochodzik, wziął futbolówkę i zaczął ją przetrzucać z ręki do ręki.

Uśmiechnął się szeroko. Wyglądał teraz inaczej, bardziej ludzko. I sprawiał wrażenie bardziej uładzonego.

– Nigdy nie jestem tak zapracowany, żebym nie mógł popracować.

– Dobry początek – podsumował Buchard. W jego głosie zabrzmiało zdenerwowanie. – Mnie by się spodobało, Meyer, i tobie też się spodoba.

Siedząc na miejscu pasażera, Lund przez otwarte okno rozglądała się po Kalvebod Fælled. Trzyście kilometrów na południe od miasta, blisko wody. Po kilkudniowych deszczach wreszcie się wypogodziło. Raczej nie na długo. Płaskie bagna, żółta trawa, rowy ciągnące się po horyzont, po prawej nagi ciemny las. Słaby zapach morza, mocniejszy odór gnijących roślin. Wilgoć w powietrzu, prawie mroźnym. Nadchodziła ciężka zima.

– Nie wolno wam nosić broni? Ani dokonywać aresztowań? A co z mandatami za parkowanie?

Człowiek, który rankiem wyprowadzał psa, znalazł jakieś dziewczęce ubrania na pustkowiu nieopodal brzoźowego lasku znanego jako Pinseskoven. Las Zielonoświątkowy.

– Musisz być Szwedem, żeby dokonywać aresztowań. Tak...

– Lund wolałaby w ogóle nie odpowiadać na jego pytania. – Tak to działa.

Meyer wepchnął do ust garść chipsów, zwinął opakowanie i cisnął pod nogi. Prowadził jak nastolatek, za szybko, nie zwracając uwagi na innych.

– Co myślisz twój chłopak?

Wysiadła, nie sprawdzając nawet, czy idzie za nią.

Przy znalezisku stał funkcjonariusz w cywilu, a mundurowy błękał się po wykrotach, kopiąc kępy umierającej trawy. To wszystko,

co mieli: bawelniana bluzeczka w kwiatuszki, w sam raz dla nastolatki. Karta do wypożyczalni wideo. Jedno i drugie zapakowane w torebki na dowody rzeczowe. Na koszulce widniały ślady krwi.

Lund obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wielkimi, lśniąco-czymi oczami przeszukała okolicę, jak zawsze.

– Kto tu przychodzi? – spytała mundurowego.

– Za dnia przedszkolaki na spacer. Nocą dziwki z miasta.

– Niezłe miejsce, żeby zaliczyć numerki – wtrącił się Meyer.

– A gdzie dzisiaj miejsce na romanse? Gdzie, pytam.

Lund wciąż obracała się powoli.

– Od kiedy te rzeczy tu leżą?

– Od wczoraj. W piątek była tu wycieczka szkolna. Znaleźliby je.

– Żadnych wezwań? Zgłoszeń ze szpitali?

– Nic.

– Nie wiemy, kim ona jest?

Detektyw pokazał jej torebkę z koszulką.

– Rozmiar osiem – odpowiedział. – Tyle wiemy.

Bluzeczka wyglądała na tanią, w kwiatki tak jaskrawe i dziecięce, że właścicielka mogła ją włożyć dla żartu. Taki żart nastolatki: dziecinnej i seksownej jednocześnie.

Lund wzięła drugą torebkę i przyjrzała się karcie do wypożyczalni. Widniało na niej nazwisko: „Theis Birk Larsen”.

– Znaleźliśmy to obok ścieżki – dodał gliniarz. – Koszulkę tutaj. Może się pokłócili i on ją wyrzucił z samochodu. A potem...

– A potem – podjął Meyer – zebrała swoje buty, płaszcz i torebkę, jak również paczkę prezerwatyw, i poszła do domu oglądać telewizję.

Lund nie mogła oderwać wzroku od lasu.

– Chcecie, żebym pogadał z tym Birk Larsenem? – spytał mundurowy.

– Zrób to. – Zerknęła na zegarek.

Osiem godzin i koniec. Koniec z Kopenhagą i dotychczasowym życiem.

Podszedł Meyer, a Lund nagle znalazła się w kłębie dymu.

– Możemy z nim pogadać, Lund. Zostawił tu dziwkę. Pobił ją. Gościu idealnie w moim typie.

– Ale robota nie w naszym typie.

Papieros powędrował do najbliższego rowu.

– Wiem, tylko... – Z kieszeni wyłoniła się paczka gum. Ten facet żył chipsami, słodyczami i papierosami. – Chcę tylko z nim pogadać.

– O czym? Nie ma żadnej sprawy. Dziwka nie złożyła skargi.

Meyer pochylał się do przodu i przemówił do niej jak nauczyciel do dziecka.

– Jestem dobry w rozmawianiu.

Miał odstające, niemal komiczne uszy i dobowy zarost. Byłby dobry jako tajny agent, pomyślała. I może pracował jako tajny agent. Przypomniała sobie, jak Buchard mówił do niego. Uliczny zbir. Gliniarz. Meyer nadawałby się na jednego i drugiego.

– Powiedziałam...

– Powinnaś mnie zobaczyć w akcji, Lund. Naprawdę. Zanim wyjedziesz. Mój podarunek dla Szwedów.

Wyjął kartę z jej palców.

– Theis Birk Larsen – przeczytał.

Sarah Lund zrobiła jeszcze jedno kółko, obejrzała żółte trawy, rowy i drzewa.

– Ja poprowadzę – zdecydowała.

Pernille pochylała się nad jego szeroką klatą, śmiejąc się jak dziecko.

Rozneglizowana, na kuchennej podłodze, przed południem, w dzień powszedni. To był pomysł Theisa, oczywiście.

– Ubierz się – zarządziła i zesła z niego. – Idź do pracy, zwierzaku.

Uśmiechnął się szeroko jak narwany nastolatek, a przecież miał już czterdzieści cztery lata. Zawsze się tak uśmiechał. Siwiejące rude włosy, bujne bokobrody sięgające do szerokiego podbródka, twarz, która w jednej chwili umiała się przemienić z przyjaznej we wrogą i znowu znieruchomieć.

Pernille, o rok młodziej, trójka dzieci nie popsua gury. Była równie atrakcyjna jak dwadzieścia lat temu, gdy się poznali.

Patrzyła chwilę, jak z trudem wdziewa czerwone ogrodniczki, po czym rozejrzała się po niewielkim mieszkanku.